

Dobre miałam życie

Doktor Felicję Pietraszek, diabetologa z Zabrze, której za niezwykle troskliwą, skuteczną a i długą pracę na rzecz chorych na cukrzycę redakcja magazynu „Cukrzyca a Zdrowie” podziękowała honorowym wyróżnieniem „Anioł dla Anioła”, już krótko przedstawialiśmy. Po uroczystości wręczenia nagrody Pani Doktor podzieliła się wspomnieniami.

- Kiedy zaczęłam się zajmować chorymi na cukrzycę, diabetologia jako specjalność lekarska jeszcze nie istniała. Pacjentów przyjmowali interniści w ogólnych przychodniach. Dopiero w 1954 roku polecono zorganizować w Polsce dziesięć wojewódzkich ośrodków leczenia diabetyków. Nasz, na Śląsku, ruszył jako pierwszy. Skierowano do niego doktora Podoleckiego i mnie. Po roku doktor się wycofał, zostałam więc, ze specjalizacją II stopnia z interny, jego szefem.

Nie miałam właściwie od kogo się uczyć. Pozostała literatura i praktyka. Szybko diabetologia stała się moją pasją.

W tamtych latach cukrzyca to było prawdziwe skarcanie boskie, jej leczenie przypominało drogę przez mękę i dla pacjentów, i dla lekarzy. Poziom cukru oznaczyć można było tylko w laboratorium, gdzie wyniki były znane następnego dnia. Insulinę podawano dwa razy dziennie, strzykawkami wielokrotnego użytku. Brakowało dobrych, cienkich igieł, brakowało paratusów metalowych, naczyń, w których wygotowywało się igły i strzykawki, samymi strzykawkami trudno było odmierzyć właściwą porcję insuliny. Przyjmowaliśmy bardzo wielu pacjentów, dorosłych i dzieci. Pod drzwiami jedni drugich instruowali, jak domowym sposobem naostrzyć sobie igłę.

Z czasem wszystko się normowało. Powstała na Śląsku gęsta, najgęstsza w kraju, sieć diabetologicznych poradni rejonowych, wyodrębniły się poradnie dla dzieci. Szkoliliśmy lekarzy i pielęgniarki.



A ja zmieniłam spojrzenie na sposób leczenia cukrzycy. Impuls przyszedł z amerykańskiego specjalistycznego magazynu „Diabetology”. Zaprenumerował go dla mnie jeden z pacjentów. Trafiłam tam na opis leczenia przy pomocy tak zwanej sztucznej trzustki. Aparatura zajmowała pół pokoju. Nie o nią jednak chodziło, a o dawki insuliny, dzięki którym uzyskiwano wyrównanie cukrzycy. Dużo, dużo niższe.



Podjęłam próbę. Najpierw z pacjentkami w ciąży. Wiele z nich traciło wówczas dzieci. Chętnie współpracowały, bardzo im na zdrowiu dzieci zależało. Mniejsze dawki, częściej, podskórnice. To jeszcze była stara, krystaliczna, zwierzęca insulina. Dobre efekty pojawiły się od razu. Rodziły się zdrowe dzieci z donoszonych ciąży.

Czy były wątpliwości? Były, ale przykłady mówiły same za siebie. Pamiętam, jak jednemu z profesorów powiedziałam: „Nie potrafię tego udowodnić naukowo, empirycznie wiem, że tak jest lepiej”. Organizm nie produkuje przecież insuliny dwa razy na dobę, a wtedy, gdy jest ona potrzebna. Naśladowaliśmy naturę.

Wprowadziliśmy dzienniczki samokontroli dla pacjentów. Niektórzy prowadzą je od pięćdziesięciu lat.

Zrobiłam doktorat z diabetologii, ale o habilitacji nawet nie myślałam. Ten rodzaj kariery mnie nie interesował. Chciałam przede wszystkim pracować z pacjentami. Zresztą, przychodnia to był mój najlepszy uniwersytet.

Stopniowo poprawiała się jakość sprzętu. Z każdego zagranicznego wyjazdu przywoziłam walizkę strzykawek – dary firm wystawiających na medycznych kongresach. Mogłabym długo opowiadać zabawne historie o tym, jak sposobem pozyskiwaliśmy odczynniki, paski. Było trudno, ale to czasy były trudne. Władze były nam przychylne, nie mogę narzekać. Widać było, że nasza praca przynosi efekty. Wraz z rozbudową sieci przychodni ze szpitali zniknęły przypadki śpiączki ketokwasicznej. W Polsce wciąż się zdarzają, ale nie na Śląsku.

W 1983 roku odeszłam z uczelni na emeryturę i mogłam całą energię skierować ku diabetology. Kiedy zachorował mój mąż, chciałam poświęcić mu cały swój czas. „Nie, nie” – prosił. „Pacjenci cię potrzebują”.



Dumna jestem ze swojej rodziny. Mąż był inżynierem odlewnikiem, pracował w Świętochłowicach, za granicą zresztą też. Był dobrym człowiekiem. To za nim trafiłam na Śląsk. Lubię to miejsce. Lubię ludzi, którzy tu żyją. Urodziłam trzech synów, bardzo udanych. Moje wnuki robią doktoraty.

W 2011 roku zdecydowałam się przejść na emeryturę. Tak na chłodno, z troski o zdrowie. Nie grozi mi jednak bezczynność. Wciąż mam plany. Spokojnie spoglądam wstecz. Mam poczucie zawodowego spełnienia.

Tak, dobre miałam życie.

Wysłuchała
Dorota Wysocka

